NUMER 45. DNIA 6. LISTOPADA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

W sprawie muzyki kościelnej słów kilka...

Prawie trzydzieści lat mija od czasu, jak w kołach Watykańskich, a następnie w Niemczech rozmyślać poczęto o reformie muzyki kościelnej. Powodem tych rozmyślań były z jednej strony wybujałości włoskiej koloratury w śpiewie solowym, z drugiej gonitwa za niezwykłymi efektami kolorystycznymi w muzyce instrumentalnej. Zdawało się inicjatorom tej reformy, że najprostszą rzeczą będzie wrócić do uświęconego ongi przez kościół stylu Palestryny, wyrzucić wszystko, co po śmierci tego mistrza do kościoła się wkradło i sprowadzić muzykę kościelną do form pierwotnych, opartych na łączeniu z sobą trójdźwięków doskonałych. Wprowadzenie akordu septymowego piątego stopnia stałoby się grzechem, a zmniejszonego zbrodnią. Chromatyka i w ścisłym z nią pozostająca związku „enharmonja“ to już istne podszepty djabelskie, których nietylko unikać, ale wprost bać się należy.

W malarstwie możnaby z tej samej racji zakazać używania barwy czerwonej, zielonej lub żółtej jako nielicujących z powagą kościoła. Coby się stało wtedy z płaszczami Madonny i świętych, malowanych przez Rafaelów, Bellinich, Veronezów, Tycjanów etc.? Trzebaby chyba obrazy te pousuwać z kościołów i porozmieszczać w galerjach i muzeach tak, jak się obecnie robi z muzyką kościelną Beethovena, Haydna, Mozarta, oddając ją na wyłączną własność sal koncertowych.

Tym jednak, którzy w każdej kwarcie zwiększonej widzą „djabła w muzyce“, obrazy Sądu ostatecznego, rozwieszone w kościołach rzymskich, padewskich, neapolitańskich nie wydają się niczem zdrożnem lub powadze kościoła urągającem. Powiadają, że to naiwne pojmowanie rzeczy, żywy temperament włoski, ale sztuka wielka. Tej wyrozumiałości niema dla Mozarta, Haydna i Beethovena, których sztuka wielka w parze idzie z duchem głęboko religijnym.

Krew burzyć się musi w każdym człowieku, szczerze kochającym muzykę, skoro mu powiedzą, że od dnia dzisiejszego nie usłyszy w kościele już utworów Haydna, Mozarta i Beethowena, bo to dzieła niegodne kościoła, a wzorem jak dla kościoła komponować należy, są jedynie utwory panów Finka, Rinka, Zinka, Hoepsla, Stoepsla i Schoepsla.

Tak lub podobnie nazywają się ci zbawcy muzyki kościelnej wyhodowani w szkołach w Rzymie, Soissons i Ratysbonie!

Zdaje mi się, że zadanie kościoła i sług jego nie leży w krępowaniu twórczości kompozytorów szeregami formułek i przepisów. Należy raczej wpływać na podtrzymanie i wzmocnienie ducha religijności. Wówczas bez przepisów, paragrafów i formułek powstawać będą dzieła prawdziwie religijne, podniosłe i piękne i nie potrzeba będzie troszczyć się wcale, czy użyto do nich akordów nonowych, undecymowych, czy też trójdźwięków doskonałych.

U nas śpiewało się i śpiewa dotychczas w kościele wszystko, co tylko tytułem lub tekstem odnosi się do muzyki religijnej. Śpiewa się bez zastanowienia i wyboru w dodatku najczęściej niedbale i bez przygotowania.

Nie przeczę, że najodpowiedniejszym dla muzyki kościelnej instrumentem jest chór mieszany. Ale cóż z tego, kiedy nie wszędzie mieć można wyćwiczonych sopranistów i alcistów. Kobietom zaś władze kościelne śpiewać nie pozwalają, powołując się na słowa pisma św., orzekające, że „mulier tacet in ecclesia“.

Pozostaje tedy chór męski albo mieszany, złożony z dzieci i mężczyzn. Jak trudno jednak zebrać dobry chór dziecięcy, o tem wie każdy nauczyciel śpiewu w szkołach normalnych i niższych gimnazjach. Zaledwie chłopiec nauczy się jako tako czytać nuty i rozumieć takt, przychodzi mutacja głosu i śpiewanie skończone.

Dzieła takich mistrzów starowłoskich, jak: Palestrina, Lotti, Nanini etc., uznane i przez kościół do wykonania zalecone, są dla naszych chórów szkolnych niedostępne. Wymagają one od wykonawców pewnego stopnia wykształcenia muzycznego i niemałej rutyny śpiewackiej — których dzieci szkolne mieć nie mogą.

Cóż zatem pozostaje?

Trzeba poprzestać na chórach mężkich i zrezygnować raz na zawsze z wykonywania arcydzieł muzyki kościelnej — albo wprowadzić na nowo w życie słusznie swego czasu przez cały świat potępianą sztuczną fabrykację sopranistów i alcistów.

Przeciwko pierwszemu przemawiają względy artystyczne — przeciw drugiemu — sumienie.

Jedynem rozwiązaniem kwestji byłoby dopuszczenie kobiecych głosów do chórów kościelnych. Umożliwiłoby to wykonywanie arcydzieł starowłoskich mistrzów i wyzwoliło nas od obowiązku słuchania utworów ratysbońskich Schoepslów i Stoepslów.

J. Gall.

Z pamiętników Wincentego Pola.

OBRAZKI LITEWSKIE.

(Dokończenie.)

Wszyscy ściskali ręce jego, całowali grzywę konia amazonki, kraj jej szaty, jej piękny turecki pałasik, któryśmy dopiero teraz spostrzegli przy jej boku.

Około północy ozwała się nagle komenda: „Na koń!“

Co się dalej z tem wszystkiem stało, z tą całą piękną fantasmagorją narodowych uczuć i postaci: nic nie wiem.

Droga nasza prowadziła przez lasy, a gdy świtać poczęło, powitał nasz pułk zorzę poranną, jak zwykle, pieśnią Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze“, i zdało się, że jakaś niezmierzona przestrzeń, legła pomiędzy wrażeniami dnia zeszłego, a tem, co nas otaczało obecnie.

Tu opowiem skąd poszło, że kapitan Tatar znalazł między nami tylu znajomych, gdy się ukazał w obozie na drodze.

Było to już po połączeniu się legjonów akademików wileńskich z powstaniem księcia Ogińskiego; ujrzawszy się w większym obozie i pod komendą takich ludzi, jak książę Ogiński i Karol Załuski, jak pułkownik Adam Sołtan i Matuszewicz, czuliśmy się nieco bezpieczniejsi.

Na większy obóz nie nacierali już tak zuchwale Moskale i było kilka dni spoczynku; a dla nas cośmy, dotąd tylko w puszczy przebywali, było bardzo nową i miłą rzeczą stanąć kwaterą w wiosce.

Litwini są prawdziwie pobożni, więc gdy nic nie groziło, chcieli odbyć praktyki religijne i w legjonie akademików ułożono sobie, że w najbliższym kościele trza będzie uprosić nabożeństwo żałobne za tych kolegów, co w boju legli i wotywę uprosić na intencje tych, których Bóg z tylu niebezpieczeństw wyprowadził cało. Złożyli się tedy, a mnie i Emerykowi Staniewiczowi polecili wykonanie tej uchwały.

Majątek, w którym nam wyznaczono kwaterę leżał w żyznej, pięknej, otwartej okolicy, ledwo okiem przejrzane łąki, gdzieś znać ku wielkiej rzece spadały, ciągnęły się w jedną stronę, i na tych łąkach pasły się stada koni, w trzech osobnych hurtach, klacze ze źrebiętami, źrebce, a w trzecim już jak się zdało, do arkanu dorosłe konie. Po drugiej stronie okolicy wznosiły się lekkie wzgórki, najprzód wielkie obszary orne, a następnie wieńczyły stare drzewne dąbrowy i lipowe gaje szczyty tych pagórków. Przed nami leżała wieś duża z obszernemi zabudowaniami dworskiemi, opiętemi sadami i chmielnikiem. Przed bramą dużego dziedzińca wstrzymała się szpica a silny głos zawołał ku nam od dworu z ganku: „Maszerować w dziedziniec! tu

wprost do bramy“. Dziedziniec był tak obszerny, że się cały oddział nasz mógł w nim pomieścić, więc z kolei weszła najprzód jazda, a potem plutonami legjon akademików, a tylko parę furgonów zostało na drodze. Mężczyzna czterdziestokilkuletni może, na którego komendę weszliśmy w dziedziniec, był panem majątku. Był to człowiek w pełnej sile i już na pierwszy rzut oka, poznaliśmy w nim dawnego wojskowego, po spojrzeniu, po ruchach, po głosie, i po tych rozkazach, które dawał z ganku. Konie kazał przywiązać do płotu, broń złożono w kozły, a kiedyśmy z koni zsiedli wyszła pani domu z trzema córkami w ganek i na wielkiej srebrnej tacy witała nas chlebem i solą. Dziedziniec był tak obszerny, że bez obawy dla budynków można było rozłożyć ognisko, ludzie dworscy roznieśli poczesne i prowianty po ogniskach, a na obszernych podsieniach dworu ganku zastawiono stoły do śniadania.

Rzadko zdarzy się widzieć tak piękną rodzinę, jak tę, która nas w tej chwili podejmowała w domu swoim, i co się bardzo rzadko na Litwie zdarza, cały ród miał jak heban czarne włosy, ogniste czarne oczy, prześliczne regularne rysy i jakąś niezwykłą powagę. Pani domu wydawała się, jak starsza siostra swoich córek, a uprzejmość i gościnność, z którą około stołów razem z córkami służyła, zobowiązała nas wszystkich niewymownie. Po śniadaniu obszedł gospodarz domu z kilkoma oficerami cały obóz, który stał w dziedzińcu, a po zapytaniach i uwagach jego poznać było człowieka wojskowego oka i znajomości rzeczy. Kilku dworskich ludzi postępowało za nami, a gdyśmy całą piechotę obeszli, rzekł do podstarościego swojego: „Siądź na konia i niech mi z zaścianków i wiosek przystawią tu zaraz chodaków ze wszystkimi przyborami dla całego oddziału, bo cała piechota ma złe buty i pokaleczone nogi, więc trzeba ją po litewsku przebrać w chodaki i nauczyć tych paniczów chodzić w chodakach, to i nogi się wygoją i obuwie w każdej wsi znajdzie się dla nich“.

Kiedy obejrzał oddział naszej jazdy, zmarszczył się bardzo i rzekł: „Panowie znacie się znać dobrze na łacinie, ale na koniach i na okulbaczeniu nie bardzo, no, daliście tym koniom łupnia, cieszcie się, że nie pod moją komendą służycie“.

Tu kazał rozkulbaczyć konie i zasmucił się, bo niektóre z nich były bardzo posednione, kazał sobie podać kredy i odsednione konie znaczył tatarskim znakiem swego stada, wszystkie też wojłoki od posednionych koni kazał złożyć na kupę i dać nowe wojłoki z lamusu. Gdyśmy do ganku wrócili szła jak najweselej rozmowa, ale gospodarz domu rzekł do najstarszej córki: „Niema, moja panienko, czasu na zabawy, przebież no się jakoś króciej, bo mnie tu wyręczyć potrzeba, odsednione konie oznaczyłem naszym znakiem kredą, każesz je z kolei prowadzić przed kuźnię i rozkuć, a potem w hurcie popędzić na leśne łąki. Tomko będzie je leczył, będzie z nimi dniował i nocował w lesie. Nie wiem, czy to się za trzy miesiące wygoi, bo to dzikie mięso już się miejscami przerzuca, jak się konie wygoją, to wam je odeślę do obozu, a teraz trzeba dać nasze pod jeźdźców. Co się ze stajni nada to wziąć ze stajni, a ze stada każ, moje dziecko, brać tylko już jeżdżone konie“.

Oczy zaświeciły się dziewczynie i wbiegła do dworu, po krótkiej chwili powróciła po męsku ubrana, ale źle mówię po męsku, bo był to raczej strój turczynki: na głowie fez czerwony, na niej jasno seledynowy kaftan złotymi sznureczkami bogato wyszyty, który nie dosięgał kolan, majtki były czarne aksamitne, szerokie i fałdziste, bucikiem zręcznie u kostki ujęte, przy bucikach złote ostrogi, rękawiczki miała grube, czarne z lakierowanej skóry, w ręku dużą długę szpicrutę, jakiej się używa przy przepędzaniu konia na lince.

Kiedy się w tym stroju ukazała w ganku, szalał cały obóz akademików z uniesienia. Uderzyło to nas już przedtem, kiedyśmy ją pierwszy raz w długiej sukni, jak damę ubraną ujrzeli, że miała krótko ucięte włosy, które w lekkich lokach opływały głowę, widocznie nietrefione, lecz kręcące się z natury do tyla, że za każdym żywszym ruchem głowy, układały się w coraz nowe pukle.

Teraz dopiero, do tego stroju przypadało to ubranie głowy, dziwnie pięknie, a cóż kiedy z kolei kazała wyprowadzić konie, które nam nasz gospodarz w zamian za nasze posednione dawał. Cóż to za czarodziejski urok był w każdym ruchu, niewieście wdzięczny, a po męsku dzielny. Z kolei kazała wyprowadzić konia, który miał pójść pod oficera, młody chłopak prowadził konia, ale koń rwał się, a on nie umiał mu dać rady i nie umiał go postawić spokojnie; zniecierpliwiona, patrząc na to, poskoczyła raźno ku koniowi, wyrwała chłopcu cugle z ręki, osadziła konia i uderzyła go takim wzrokiem, iż jak wryty stanął w miejscu i drżał na całem ciele.

Zrozumieliśmy z kim tu sprawa w tym domu, cóż dopiero gdy wyprowadzono dzianeta i gdy go dosiadła! Była po męsku ubrana, ale dzianet był okulbaczony w damskie siodło i siadła po damsku na konia; sam ojciec przytrzymał jej strzemię i pod-

niósł ją na konia. Kilku z naszego grona chciało jej towarzyszyć do stada, ale ona uśmiechnęła się ironicznie i rzekła: „Nie potrzeba tego, panowie macie strudzone konie, a ja tam sama prędzej i pojadę i wrócę“. Kilku ludzi dworskich ruszyło za nią, puściła cwałem konia, który w podskokach bujał sobie dzielnie i w jednej chwili znikła nam z oczu. Matka i siostry patrzyły na to bardzo zwykłym wzrokiem, ale ojciec, odprowadzając ją oczyma, pokręcał wąsy i widocznie rad był i z konia i z amazonki swojej.

Dwadzieścia ośm koni wzięliśmy z tego dworu w zamian, za nasze posednione ale gospodarz sam pilnowało kulbaczenia i podkładów pod siodło. Skrwawione nasze wojłoki leżały na kupie, a świeżo wzięte i okulbaczone konie trzeba było trzymać w ręku krótko, bo rwały i wyrywały się co chwila. Kiedyśmy gospodarzowi i damom oświadczyli, że chcemy mszę żałobną i wotywę kazać odprawić w najbliższym kościele i kiedyśmy go o to prosili, aby uprosił księdza o nabożeństwo nazajutrz, zdziwiło nas to bardzo, iż bardzo obojętnie przyjął tę prośbę i nie dał nam żadnej odpowiedzi. Po obiedzie ponowiliśmy tedy znowu prośbę naszą, gospodarz uśmiechnął się i rzekł: „Kiedy chcecie zamówić nabożeństwo, to nie udawajcie się do mnie, bo ja jestem wyznawcą Koranu, jako Tatar litewski służę wam i ojczyźnie, ale o mszy w kościele radźcie sami beze mnie“.

W osłupieniu stanęliśmy wszyscy. Jak to, żeby dom wyznawcy Koranu i Tatarów był tak do nie poznania polskim i szlachetnym dworem?

Gospodarz spostrzegł osłupienie i zadziwienie nasze i rzekł po chwili bardzo poważnie, a nawet z pewnem rozrzewnieniem: „Po śmierci, o wiarę rozprawi nas Bóg, a tu jako synowie jednej ziemi kochajmy się, bo nam ojczyzny potrzeba“. Wielkie wrażenie zrobiły te słowa na nas wszystkich i unikano wszystkiego, coby mogło potrącić o wiarę lub wolność sumienia.

Dwóch akademików udało się do najbliższej parafji, by uprosić mszę św. Było to wszakże Boże Ciało i msza żałobna być nie mogła, ale o świcie ruszyliśmy w wojskowym szyku do kościółka najbliższej parafji.

Zdala witały nas już dzwony. Cóż to za głos z nieba, ten dzwon dla ucha, które już prawie odwykło od jego harmonji. Cała wioska była przystrojona majem, cała droga przed kościołem osypana siekaną jedlinką, szpalerem stały niewiasty w bieli, postrojone wieńcem maju i trzymające przed sobą gorejące świece. Cała wieś miała pozór świąteczny, wstąpiliśmy w ten szpaler, który do drzwi kościoła prowadził. Niewiasty śpiewały chórem jakąś pieśń litewską i wydały nam się podobne do owych mądrych dziewic w piśmie, czekających na przybycie oblubieńca. We drzwiach kościoła powitał nas ksiądz z wodą święconą, a „Te Deum laudamus“ odśpiewał już cały legjon chórem, byli tacy w legjonie, co przystępowali do spowiedzi i Sakramentu, ale wszystkim nam po nabożeństwie wydało się jakbyśmy po spowiedzi byli. Tatar z rodziną swoją stał przed drzwiami kościoła z odkrytą głową i dopiero na śniadaniu u księdza proboszcza pożegnaliśmy tę piękną i zacną rodzinę wyznawców Koranu.

STANISŁAW BURZYŃSKI.

Z cyklu: *Regina Autumni.*

Ty, bezlitośna, przyszłaś już, jesieni, —
W królewskiej krasie idziesz w pól roztoczy,
W akordach cichych, zawodliwych pieni — —
Na lasów zieleń kładziesz śmierci chłody,
Patrząc przez dziwne swe uroczne oczy...
Spojrzysz na listek, wnet się rozpromieni,
Jak dziecka chora twarz, i rdza go stoczy —
I musi ginąć, chociaż jeszcze młody,
Bo go urzekły twoje dziwne oczy...

Przyszłaś już, nucisz wszystkiemu podzwonne,
I patrzysz tylko, gdzie kwietna zagroda —
I zrywasz z niej wonie — te, najwięcej wonne — —
I śpiewasz im przesmutne ciche hymny — —
Nie baczysz na to, czy pierś kwiatu młoda,
Bogata w życia nadzieje niepłonne —
I szukasz tylko, co blasków ci doda,
I gasisz życie, kładąc nań wzrok zimny! —
Nie baczysz na to, czy pierś kwiatu młoda!

Przeszłaś wieczorem przez moją zagrodę,
Zwarzyłaś kwiaty przecudne i drzewa,
Chociaż nad chatą szumiały mi, młode,
I sen dojrzewań śniły swój proroczy...
Spadła z nich krwawych łez-liści ulewa
W duszy mej jasną, spokojną pogodę
I teraz smutek po niej się rozlewa...
Bo na nią zimne spojrzały twe oczy —
I krwawi teraz, jak drzew mych ulewa — —

Rzuciłaś w duszę mą nagle chłód wzroku,
Co zimne tchnienie śmierci niesie wszędzie,
I już mi kona od tego uroku
I dzień swój smutna, w żałobie przeżywa —
I tak się smucić już na wieki będzie! —
I nie dość chwały było twemu oku,
Żeś mi kwiat ścięła najpiękniejszy w grzędzie,
Że w duszę jeszcze rzucasz urok, mściwa,
I nie dbasz o to, że mi chorzeć będzie?

. . . .

Ty, bezlitośna, przyszłaś już, jesieni, —
W królewskiej krasie idziesz w pól roztoczy,
W akordach cichych, zawodliwych pieni — —
Na lasów zieleń kładziesz śmierci chłody,
Patrząc przez dziwne swe, uroczne oczy...
Spojrzysz na listek wnet się rozpromieni,
Jak dziecka chora twarz, i rdza go stoczy —
I musi ginąć, chociaż jeszcze młody,
Bo go urzekły twoje dziwne oczy...

Wychowanie fizyczne.

(*Dr. Eugenjusz Piasecki. — Zasady wychowania fizycznego. — Kraków, Bibljoteka podręczników D. E. Friedleina 1904*).

W obiegu księgarskim ukazała się niedawno niewielka, bo zaledwie 120 str. licząca książka niezmordowanego pracownika na polu wychowania fizycznego, pod powyższym tytułem.

Jest to w naszej literaturze pedagogicznej rzecz pierwsza, która w sposób bardzo przystępny zaznajomić chce ogół z kwestją, będącą obecnie na porządku dziennym bardziej, aniżeli kiedykolwiek.

Niewielkie rozmiary, przystępna, a obfita treść czyni z książki dra Piaseckiego rodzaj katechizmu, z którym powinien zapoznać się co rychlej k a ż d y wychowawca, jeżeli swe obowiązki na serjo pojmuje.

Dziełko owe, owoc kilkuletnich prac doświadczalnych po laboratorjach naukowych i spostrzeżeń z szeregu podróży naukowych po Anglji, Francji, Niemczech, Danji i Szwecji podzielił autor na dwie części. W pierwszej omawia cele wychowania fizycznego i charakterystykę systemów, w drugiej znów o zabawach, grach, sportach i ćwiczeniach metodycznych, więc o gimnastyce w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Osobny rozdział poświęca pracy ręcznej, rzeczy bardzo ważnej, a w szkołach naszych zupełnie nieznanej.

Omówimy pokrótce ważniejsze myśli poruszone przez autora, odsyłając ciekawych, a powinno ich znaleźć się bardzo sporo, do dziełka samego.

Rozpoczyna autor omówieniem w jasnych zarysach walki systemów, z których jeden (Johna) chce wytworzyć człowieka o nadludzkiej sile i kociej zręczności, drugi zaś (szwedzki) chce mieć człowieka zdrowego w pełnem tego słowa znaczeniu. Znakomicie uchwycone i przedstawione cechy charakterystyczne obu systemów robią czytelnika od razu zwolennikiem drugiego z nich, mimo, iż autor z ogromną bezstronnością nie ukrywa też i wad jego.

Nawiązując logicznie do cech szwedzkiego systemu wskazuje autor na ogromną doniosłość rozumnie pojętego wychowania fizycznego dla celów

już nie tylko czysto zdrowotnych, lecz jako jednego ze środków, bardzo potężnego, który to zupełnie nie społeczne zwierzątko, jakiem jest każde dziecko, urabia w człowieka.

Moment ten akcentuje autor z ogromnym naciskiem, a że to jest kwestja, na którą dziś prawie zupełnie nie zwracamy uwagi, wskazanie jej czytelnikowi robi z książki dra Piaseckiego rzecz o doniosłej społecznej wartości. (Patrz Życie i Wiedza tom 12 Serja I. Z psychologji i fizjologji wychochowania E. Piasecki: „O wpływie ćwiczeń fizycznych na rozwój psychiczny młodzieży).

Znaczną część książki poświęca autor zabawom, grom i sportom, przyznając tym czynnikom wychowania fizycznego niezmierną doniosłość tak z powodu równomiernego rozłożenia w nich ćwiczenia na ogromne grupy mięśni, jak i dla konieczności sprowadzania młodzieży przez nie na wielkie obszary pełne zieleni, powietrza i słońca.

Społeczność ćwiczeń cielesnych więcej aniżeli gdziekolwiek indziej występuje właśnie w sportach, grach i zabawach.

Przechodząc je systematycznie i analizując ich działanie daje autor równocześnie cenne wskazówki, kiedy i jak zaprawiać młodzież w różnym wieku do poszczególnych zabaw. Przepisów gier autor nie podaje, gdyż nie jest to jego celem, (posiadamy w tym kierunku znakomitą książkę Tokarskiego) lecz wskazuje, co jest rzeczą niezmiernie ważną, jakie momenty w grach i zabawach podnosić należy. W ten sposób staną się one nie bezmyślnem tylko zajęciem młodzieży, lecz urosną w rękach świadomego wychowawcy na dzielny bardzo czynnik wychowawczy. A z tem się chyba każdy zgodzić musi, że w wychowaniu młodzieży nie można spuścić oka ani na chwilę z wychowanka i ani jedno wprowadzone zajęcie nie powinno być bez wyraźnego celu ze strony wychowawcy. Na tę stronę wychowania, która tak łatwo może się wymknąć z pod uwagi nawet najbardziej doświadczonego pedagoga, zwraca autor uwagę ustawicznie.

W systematycznym przeglądzie najważniejszych gier, zwraca autor ustawicznie uwagę na fizjologiczne działanie każdej z nich, przyznając pierwszeństwo piłce nożnej. Gra ta do niedawna zupełnie u nas nieznana, stała się już obecnie, można powiedzieć, pasją naszej młodzieży. Jest to wyłącznem dziełem dra Piaseckiego. Kierując zabawami w jednem z gimnazjów lwowskich, wprowadził ją najpierw w swoim zakładzie, potem zaś zorganizował drużyny footballowe w innych zakładach. Publiczność zrazu przechodziła obojętnie obok grających na boisku, potem przystawał ten i ów ciekawszy, dziś zaś partje footballu rozgrywane zwłaszcza w dni świąteczne, mają zawsze zwiększającą się, poważną ilość widzów. Podczas minionych feryj wakacyjnych, można było widzieć cały dzień od wczesnego rana do późnego zmroku na lwowskiem boisku powystawowem, drużyny z kilkudziesięciu uczniów złożone, grające w piłkę nożną zupełnie z własnego popędu, z obudzonego zamiłowania poprostu. Tyle młodych płuc potrafił w krótkim czasie wyrwać dr. Piasecki zakurzonym ulicom wielkiego miasta i sprowadzić je na wielkie przestrzenie pełne słońca i zieleni!

Zamiłowanie do tej gry doszło już dzisiaj do tego stopnia, że wielka ilość zamożniejszych uczniów posiada własne piłki nożne, wypełniając tą grą czas wolny od nauki.

Obok piłki nożnej przyznaje autor i palantowi wielkie zalety, polecając obie te gry naszej młodzieży, przynajmniej męskiej jej połowie. (Przepisy i reguły obu tych gier zestawił p. Hemerling. Sprzedają je magazyny sportowe po cenie 4 h. za egzemplarz).

Mówiąc o walkach, zwalcza autor tak modne dzisiaj „zapasy“, jako ćwiczenia o działaniu wprost szkodliwem dla zdrowia.

Obok gier podnosi autor jako bardzo dzielny czynnik wychowawczy sport podróżniczy, turystykę. Z tem ma się u nas rzecz lepiej, niż dotychczas z grą na świeżem powietrzu, bo chłopcy chodzić lubią, tylko nie lubią robić wycieczek sami. Wykorzystać to zamiłowanie jest rzeczą szkoły.

Mówiąc o kolarstwie zwraca autor uwagę na szkodliwe zdrowiu używanie przez młodych elegantów rowerów o bardzo nisko umieszczonych i w dół skierowanych rączkach kierownicy.

Atletyka, sporty zimowe, (saneczki, ski) kończą pierwszą część dziełka.

Druga poświęconą została ćwiczeniom metodycznym, t. j. gimnastyce.

Jako zwolennik naturalnej gimnastyki, opartej na prawach i zdobyczach badań fizjologicznych i anatomicznych, staje autor do walki z cyrkową i akrobatyczną gimnastyką niemiecką. Po przeczytaniu wywodów autora, najzapaleńszy zwolennik akrobatyki stanie się z pewnością apostołem szwedzkiego systemu. Dlatego, nie mogąc w tem krótkiem sprawozdaniu streszczać autora, a nie chcąc dać niezupełnego obrazu dowodów, odsyłamy ciekawych do samego dzieła.

Uwagami o pracy ręcznej i o ciężkiej pracy w polu zaprowadzonej w niektórych szkołach angielskich, kończy autor swą pracę.

Referat obecny dalekim jest od wyczerpania przedmiotu, uważałem jednak za konieczne na tej właśnie drodze zwrócić uwagę na wydaną książkę, ażeby w ten sposób zaciekawić ogół i zniewolić do zaznajomienia się z nią dokładnie.

Jest to pierwsze polskie oryginalne dzieło w tym przedmiocie, napisane wyczerpująco a popularnie przez człowieka, który całą swą wiedzę i niezwykły zapał poświęcił dla dobra dzieci, powinno się więc znaleźć w rękach każdego ojca, każdego wychowawcy. *Bolesław Błażek.*

Dr. MIECZYSŁAW GROCHOWSKI.

O garncarzach na Huculszczyźnie.

(Dokończenie.)

Styl zwany zwyczajnie stylem Bachmińskiego, nie sięga, zdaje się, czasów dawniejszych, jak Piotra Bachmińskiego (ojca Aleksandra) i Michała Baranowskiego (ojca Józefa), to też dziwnem wydaje mi się przywiązywanie wagi przez Szuchiewicza *) do świadectwa właściciela pieca, który utrzymywał, że piec jego kaflowy liczy ponad sto lat, gdyż do lat podawanych przez włościan nie można przywiązywać prawie żadnej wagi, a na określenie długiego przeciągu czasu posługują się zwykle setkami lat. Podobny przykład mieliśmy na obrazach Fedusiewicza **) — które jak przekonaliśmy się, pochodzą z r. 1849. Obrazom tym przypisuje lud w Trościańcu tak samo dawne pochodzenie, ponieważ jednak właściciele ich dodają przy tem, że robione były podczas malowania starej cerkwi, przeto z aktów cerkiewnych wiemy, że było to w r. 1849. Nadto same rysunki, na kaflach pieca, przedstawionego przez Szuchiewicza, świadczą o bliskiem pokrewieństwie z wyrobami Bachmińskich i Baranowskich. Widzimy tu herb austrjacki, zaprząg w podłuż, mający prawdopodobnie przedstawiać czwórkę, który to rysunek, tak samo jak u Bachmińskiego, zajmuje dwa kafle i wiele innych podobieństw.

Na zakończenie dodać muszę, że mówiąc o garncarstwie na Huculszczyźnie, nie miałem wcale na myśli garncarstwa, uprawianego przez Hucułów, gdyż Huculi garncarstwem wcale się nie zajmują i w górach niema wcale garncarzy. Do codziennego użytku posiadają Huculi misy, miseczki i kubły drewniane własnego wyrobu, równie jak łyżki i warząchwie. Mleko nawet, żentycę, bryndzę i huślankę trzymają tylko w naczyniach drewnianych. Garnków zaś używają tylko tyle, ile im potrzeba do ugotowania ziemniaków i kuleszy. Miski, które kupują w podgórskich miasteczkach, jak w Kossowie, w Kutach i Pistyniu, służą tylko do ozdoby chat i na przyjęcie gości.

Wszyscy znani mi zdolniejsi garncarze są Polakami obrządku łacińskiego, w Trościańcu nawet żyła rodzina garncarzy Wierzbowskich, Polaków, a z wymarciem tej rodziny nie mamy wcale garncarzy. Czy jest to tylko przypadek, czy może rzeczywiście sztuka ceramiczna była obcą tutejszemu ludowi i została wprowadzoną tu przez Polaków?

*) Huculszczyzna tom I. str. 294 i fig. 40 str. 117.

**) Helena Grochowska „Wnętrze chaty i malarstwo u ludu w Trościańcu „Lud“ r. 1903.

„Slawa“.

Serbja, kraj słońca, słodkich winogron, soczystych brzoskwiń, aromatycznych melonów i moreli, ognistej papryki; kraj dzikich mordów, mających zapewne swe źródło w wysokiej polityce, w racji stanu, jest jednocześnie krajem szeroko uświadomionym politycznie, z wysokiem poczuciem narodowem. Poznawszy te dwa przymioty, smutek ogarnia a na myśl przychodzi pytanie: czemu nie tak u nas? . . . .

Miasteczko przed dwudziestu laty było małe, bo zaledwie 5000 mające mieszkańców, rzucone nad brzegiem Morawy, której srebrzyste fale, mknąc majestatycznie ku Dunajowi, gwarzą coś o dawnej sławie Wielkiej Serbji, o potokach krwi przelanej za Ojczyznę, przez wieki niewoli, o Kossowem Polu, o kralu Duszanie i kralicy Milicy, o wojewodzie Miłoszu, chcącym zerwać kajdany niewoli...

A brzegi ujęte w ramy wierzb płaczących, przypominały nam naszą Wisłę, której fale, jak fale Morawy przybierały nieraz barwę purpury, od potoków krwi serdecznej, przelanej za wolność Ojczyzny.

Domki murowane, białe, kryte ciężką dachówką, środkiem biegnie główna ulica, zwana c z a r s z i j ą, coś w rodzaju naszego rynku, część najwięcej ożywiona, handlowa, bruk z kamieni wielkich, nierównych; od głównej ulicy na obie strony rozchodzą się boczne, przy nich domki zwyczajem Wschodu, obrócone szczytem do ulicy, bez okien. Każdy domek ma podwórko i ogródek oddzielny, otoczony wysokim parkanem, wchodzi się przez

ganek, rodzaj podsienia — kolumnady, wpuszczonej w głąb domu, okna małe z gęstą, żelazną kratą, zabytek czasów tureckich.

Od sześciu tygodni ani kropla deszczu nie padła, przed świtem termometr zawieszony na ścianie północnej, nie schodził niżej 21 Reom., w południe położony na trawie dochodził do 50 stopni. W dzień sklepienie niebios z szafiru przechodziło w ton ciemno-popielaty a na niem kula ognista, ziejąca żarem. W nocy miljardy skier brylantowych lśniło nad nami; żadnej chmurki, żadnego obłoczka nawet — Upał podzwrotnikowy!

Jednego z takich dni otrzymałam zaproszenie, od właścicielki domku, w którym mieszkaliśmy, żony najbogatszego kupca w miasteczku, aby przyjść do nich na „Sławę“.

Sława zabytek czasów pogańskich, święto bożka domowego, zamienione w święto patrona domu; gdyż tam każdy dom musi mieć swego patrona, którego obchodzą tak uroczyście jak Boże Narodzenie, lub Wielka Noc.

Upał nie usposabiał do wizyt, iść, nie iść? — Nie pójść obraza wielka, wybrałam pierwsze.

Furtką maleńką (gdyż brama wjazdowa zwykle bywa zamknięta) wchodzi się do ogródka, utrzymanego starannie. Kwitły tam malwy, nagietki, nasturcje, macierzanka i mięta, okalające grządki, napełniały powietrze ostrym aromatem, pod ścianą domu stały wielkie wazony białych i różowych oleandrów, przeplatanych krwawymi granatami.

(D. n.)

Józefa z Zagórowskich Anc.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Parwus: Oportunizm socjalistyczny w praktyce.*

Parwus jest jednym z wybitniejszych teoretyków ruchu niemieckiego. W wymienionej broszurze rozpatruje taktykę partji socjalistycznej w Niemczech. Zaznacza wzrost żywiołów umiarkowanych i ich wpływ na osłabienie tempa ruchu robotniczego. Obszerniej zatrzymuje się nad polityką Vollmara w Bawarji i taktyką Auera. Parwus należy do lewego skrzydła socjalistów w Niemczech, w broszurze swej stara się wykazać brak podstaw w rozumowaniu oportunistów, niezgodność ich poglądów na rozwój stosunków polityczno-społecznych z rzeczywistością.

Praca Parwusa daje dokładne pojęcie o charakterze dwu walczących ze sobą kierunków w łonie niemieckiej socjalnej-demokracji. *L. K.*

Muzeum sztuki huculskiej w Kossowie. Na ostatniem zebraniu zwołanem przez dr. A. Tarnawskiego w Kossowie, a poświęconem uprzemysłowieniu Galicji ze szczególnem uwzględnieniem powiatu kossowskiego, podniesiono sprawę miejscową bardzo na czasie będącą. Do dziś Huculszczyzna i kąt kossowski rozporządza żywą tradycją sztuki ludowej. Szereg artystów w drzewie jak Skryblak, Dawydiuk i Mechedaniak z Riczki, w skórze i w metalu, jak drugi Skryblak z Jaworowa, dalej garncarzy, jak niezwykłej miary artysta Józef Baranowski, u którego ojca, uczył się słynny Bachmiński, i Piotr Koszak, obadwaj Polacy i to jak Baranowski dobrzy Polacy i działacze polscy miejscowi, to przecież niepoślednia ilość utalentowanych twórców pierwszej wody, nie licząc długiego szeregu drugorzędnych postaci artystycznych.

Poza tem jeszcze jest sporo po chatach huculskich sprzętów rozmaitego rodzaju bardzo ozdobnych i ciekawych.

Cały ten dział kultury ludowej artystycznej będący na wymarciu możnaby było utrzymać i rozwinąć.

Niestety w tym kierunku bardzo niewiele się robi.

Muzeum pokuckie zebrane z takim mozołem w Kołomyi przez ś. p. hr. Starzeńskiego dziś rozbite częściowo i niedostępne dla szerszej publiczności.

W Kossowie ten i ów ma bardzo ciekawe okazy, ale to są samorzutne i zupełnie odosobnione usiłowania jak u p. Moszyńskiego, sędziego miejscowego.

Tymczasem takie muzeum powiatowe sztuki miejscowej z charakterem publicznym miałoby doniosłe znaczenie. Korzystając z licznego zebrania, dr. Bolwarski, miejscowy lekarz asystent zakładu dr. Tarnawskiego, postawił wniosek, zmierzający do założenia muzeum huculskiego w Kossowie. W dyskusji wyszło również na jaw, że były prezydent Bukowiny, książę Hohenlohe miał myśl założenia szkoły zawodowej dla przemysłu artystycznego niedaleko Kossowa ale naturalnie już na bukowińskim gruncie, w którejby uczyli ci wyliczeni już mistrze samorodnego artyzmu a nie rozmaici z zewnątrz przybyli „profesorowie“, manierujący jedynie twórczość miejscową.

Z ustąpieniem księcia Hohenlohe myśl ta poszła w odwłokę na razie na Bukowinie. Powinna ją jednak podjąć Galicja, względnie Wydział krajowy w porozumieniu z wydziałem powiatowym.

Koszt byłby bardzo niewielki, a sztuce miejscowej wyrządziłoby się ogromną przysługę.

Już obecnie dzięki publiczności polskiej zjeżdżającej rokrocznie do zakładu dr. Tarnawskiego zbyt przedmiotów artystycznego przemysłu wzrósł ogromnie.

O ile lepiejby było gdyby rzesza artystów była liczniejsza i bardziej wyrobiona a organizacja zbytu wyrwana z rąk przekupniów nie grzeszących sumiennością. Radować się należy, że kresowy powiat kossowski, wogóle cieszący się wyjątkowymi naturalnymi warunkami zdobywa się na tak doniosłą inicjatywę w tej mierze. *K. M.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.